PRZYIACIEL DZIECI



Nr. I. Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci, Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci. **I. Lipca.**

Kochane dzieci!

Kogo wy też najbardziej *kochacie?* Nie mylę się pewno, że najbardziej kochacie Tego co was stworzył, co wam dał dobrych rodziców — Stwórcę nieba i ziemi; Tego, który wam co chwila nowe dobrodziejstwa wyświadcza, i co chwila daje nowe dowody swojej ojcowskiej troskliwości.

A potem?

Potem kochacie najmocniej tych, którzy wam zastępują Boga na ziemi, to jest waszego ojca, i waszą dobrą mamę.

A któż po rodzicach mieszka najgłębiej w waszem serduszku?

Oto dziadunio, babunia, bracia, siostry, ciocia, wujcio i t. d. A potem? potem kochacie wszystkich dalszych krewnych i

znajomych. A potem? potem wszystkich, wszystkich ludzi, czy to złych, czy dobrych, bo tak Pan Bóg przykazał.

Lecz mówiliśmy tylko o ludziach, a przecież jest jeszcze na świecie coś więcej, co chociaż nie jest człowiekiem, tak mocno kochamy i kochać powinniśmy jakby najlepszą, najczulszą matkę naszą.

I cóż to takiego?

O! dzieci moje, jest to ojczyzna nasza, jest to ziemia rodzinna; ta chata w której po raz pierwszy usłyszałyście głos ojca, ta ścieszka po której przy pomocy matki stawiałyście pierwsze kroki, ta łąka, na której igrając wesoło, zrywałyście kwiatki i jagody.

Nieprawdaż kochane dzieci, cóż może być droższego dla nas wszystkich, jak ta spólna, ukochana nasza ziemia rodzinna?

Gdyby wam przyszło wyjechać daleko, łzy smutku zabłysłyby w waszych oczach, a gdybyście wracały do domu po długiej nieobecności, ileżby to było radości, ile powitań z każdem drzewkiem, z każdym znajomym kącikiem!

Ale powiedzcie mi też dzieci, co wy najbardziej *lubicie?*

Biegać, swawolić i jeździć na koniu! A co chłopczyki, czy zgadłam?

Bawić się lalką, szyć dla niej piękne sukienki i wyprawiać bale.

A co dziewczynki, nieprawdaż? Ale obok tego lubicie także słuchać opowiadania ojca lub matki, lubicie piękne książeczki z ładnemi obrazkami i ciekawemi historyjkami, lubicie gdy wam starsi na wasze niezliczone pytania odpowiadają, gdy wam wszystko wytłómaczą i wyjaśnią. Bardzo to dobrze, bo to są wszystko rzeczy potrzebne i pożyteczne.

Są na świecie takie biedne, takie nieszczęśliwe dzieci, które nieraz chciałyby się pobawić czy to szabelką, czy to konikiem, ale rodzice nie mają im za co kupić zabawek.

Są także takie, które uczyłyby się chętnie i pilnie, ale ich biedna mama, pracując ciężko dzień cały, zaledwo jest w stanie zdobyć się na kawałek chleba, a o kupnie książeczek nawet pomyśleć nie może.

Które z dzieci ma rodziców, kocha ich z całego serca; które z dzieci ma książeczki i sposobność do nauki, powinno czytać wiele i uczyć się pilnie.

W tem pisemku, które wam przesyłać będziemy, znajdziecie to, co wam się najbardziej podoba.

Znajdziecie tu różne historyjki, opisy różnych krajów, miast i ludów; znajdziecie opowiadania różnych zdarzeń z historji polskiej, żywoty świętych i różnych sławnych mężów, dowiecie się jak macie się zachować i czego się uczyć abyście zasłużyły sobie na miłość i pochwałę u starszych, i były pociechą rodzicom waszym — abyście wzrastały na ludzi rozumnych i zacnych, i stały się z czasem użytycznymi ojczyznie.

Słuchajcie rad „Przyjaciela“ waszego i rozczytujcie się w nim uważnie. Dowiecie się tu wiele rzeczy dla was nowych i ciekawych, a tak będziecie miały zarazem i przyjemność i pożytek.

Czytajcież więc pilnie — życzymy wam najlepszej zabawy.

O grzecznym a bojaźliwym Władziu.

Władzio był to chłopczyk bardzo grzeczny. Kochał swoich rodziców i był im we wszystkiem posłuszny. Nikomu nigdy nie zrobił przykrości, nikomu się nie naprzykrzył, był zawsze porządny, zgodny, a co ważniejsza, pobożny i pilny. Oprócz tego miał jeszcze jedną zaletę: umiał dotrzymać danego słowa. Gdy szedł do lekcji, mówiła Mama do niego:

— Władziu, daj mi słowo, że się będziesz dobrze uczył.

Władzio wyciągał rękę i odpowiadał:

— Zgoda kochana Mamo, daję Mamie słowo, że się będę uczył jeszcze lepiej jak wczoraj.

Jakaż to była radość dla Mamy, gdy po lekcji nauczyciel poświadczył, że chociaż Władzio i wczoraj uczył się nie źle, dzisiaj przecie daleko, daleko lepiej.

Często się to powtarzało. Mama za każdym razem uściskała Władzia, i kochała go coraz bardziej.

— Kochana Mamo, rzekł raz Władzio, Jaś syn kucharza jest taki biedny, nie umie czytać, i nikt go nie uczy, niech Mama pozwoli, a ja w wolnych godzinach będę jego nauczycielem.

— Byłoby to bardzo dobrze, odpowiedziała mama, ale ty mój Władziu nie wytrwasz w postanowieniu. Sprzykrzy ci się, gdy poznasz że uczyć kogo to wielka praca, a Jaś przerwawszy rozpoczętą naukę, tem więcej pragnąć jej będzie, tem bardziej będzie do niej wzdychał, i martwił się że jej nabyć nie może.

— Daję Mamie słowo że wytrwam, odpowiedział Władzio wyciągając rękę.

Mama więc pozwoliła, a Władzio wytrwał rzeczywiście i zasłużył sobie za swój dobry uczynek na przywiązanie Jasia i jego rodziców, i na błogosławieństwo niebios.

Tak było we wszystkiem.

Ale ten grzeczny Władzio nie był bez wady. Ach, miał on jedną. A jaką? Oto tę, że był niesłychanie bojażliwym.

To bardzo brzydka wada.

Władzio za nic w świecie nie byłby poszedł do ciemnego pokoju, za nic w świecie nie zbliżyłby się do żebraka. Kominiarza bał się niezmiernie. Gdy ujrzał psa, to chociaż był od niego bardzo, bardzo daleko, krzyczał przecież, uciekał co miał siły i krył się po kątach. Gdy przyszło lato, a woda w rzece tak się już wygrzała, że dzieci mogły się kąpać, Władzio całując ręce i kolana matki, błagał ją ze łzami w oczach, aby go nie posłała do kąpieli.

— A to czemu? zapytała Mama.

— Bo się boję, odpowiadał Władzio i z gorżkim płaczem prośby swoje powtarzał.

Wuj Władzia usłyszawszy że on jest chłopczykiem pilnym i posłusznym, chciał mu zrobić przyjemność, i przysłał mu . . . zgadnijcie co? . . . oto to, co chłopczyki lubią najwięcej — przysłał mu prześlicznego kucyka. Był to konik maleńki, ale zgrabny i zwinny. Maści czarnej i lśniącej, czoło miał ozdobione prześliczną gwiazdką. Na widok tego konika zadrżało serce Jasia, owego biednego chłopczyka, o

którym wspomniałem wyżej; prosił ze łzami aby mu wolno było wskoczyć na siodełko, i cugle ująć ręką. Uzyskawszy pozwolenie, puścił się kilka kroków stępem, a potem cwałem i galopem. Konik leciał jak strzała. Piękny to był widok. Tymczasem Władzio zasłonił sobie oczy rękami, i ukrył się w najgłębszym zakącie. Ojciec wołał: — „Władziu, Władziu, konik czeka, chodźno, nauczę cię jeździć;“ ale to daremnie. Władzio zaparł dech w piersi, by go nie odkryto. Lecz Azor, piesek niezmiernie domyślny, zgadł o co chodzi, i puścił się wietrząc na wszystkie strony, by wynaleść panicza. Nie długo się trudził. Władzio ujrzawszy z daleka Azora, począł krzyczeć z całego gardła.

Ojciec przyprowadził Władzia łagodnie za rękę i począł go namawiać do jazdy konnej. Lecz wszelkie jego zachęty, namowy i obietnice były daremne. Władzio na widok kucyka drzał cały jak listek osiki.

— No, a dla czegoż ty niechcesz jeździć? zapytał ojciec Władzia na pół z gniewem, na pół z śmiechem.

— Bo się boję — odpowiadał Władzio.

Taki to był ten Władzio. Gdyby nie jego dobroć, pilność i posłuszeństwo, nie kochałby go nikt, z powodu jego tchórzostwa. Ale ja wam jeszcze nie wszystko wyliczyłem, co wzbudzało obawę we Władziu.

Bardziej jak konia, wody, dziada i kominiarza, bał się on — głośnej muzyki i huku dzwonów.

Z tego powodu rodzice nie mogli brać go do kościoła. Muzyka kościelna i głos dzwonów tak Władzia przerażały, że odchodził ze strachu od przytomności.

Rodzice Władzia niezmiernie martwili się tą wadą swojego synka; postanowili więc uleczyć go koniecznie.

Było to w sobotę po południu. Ojciec zawołał Władzia i począł przedstawiać mu jak to źle być bojaźliwym, jakie to okropne skutki mogą na przyszłość z tchórzostwa wyniknąć. Ojciec mówił wiele i długo, a słowa jego trafiły widać do serca Władziowego; słuchał ich pilnie i uważnie — jakieś mocne postanowienie malowało się w oczach bojaźliwego chłopczyka.

— Słuchajże Władziu, rzekł ojciec w końcu, jutro niedziela, pojedziemy wszyscy do kościoła, pamiętajże nie krzyczeć i nie bać się muzyki, lub dzwonów; wytrwaj przez całe nabożeństwo, módl się szczerze, i ja i Mama także będziemy się modlić i prosić Boga, może się zlituje nad tobą, i doda ci sił do pozbycia się takiej szkaradnej wady.

Na wzmiankę o kościele Władzio pobladł i zadrzał. Ze łzami w oczach rzucił się przed ojcem na kolana, złożywszy ręce jak w pacierzu błagał i zaklinał, aby go nie wieziono do kościoła.

— A to dla czego? zapytał ojciec.

— Bo się boję, bo się boję, odrzekł Władzio.

To ojca wielce zasmuciło. Podniósł Władzia, przybliżył go do siebie, posadził i zaczął mu przedstawiać, jak brzydką dla mężczyzny jest bojaźliwość.

Władzio z głębi duszy przyznał słuszność słowom ojca, lecz długo sam z sobą w duszy pasować się musiał nim przyrzekł, że jutro będzie cierpliwym przez całe nabożeństwo.

Ojciec uradowany miał już odejść, gdy niespodzianie weszła mama, która z drugiego pokoju słyszała całą rozmowę. Sama jedna wiedziała ona tylko, kiedy Władzio najmocniej dotrzymuje przyrzeczenia — zbliżyła się więc do synka, pocałowała go w czoło i rzekła z cicha:

— A dajesz mi słowo na to, co przyrzekłeś ojcu?

Władzio zamyślił się chwilkę, ale przecież wyciągnął rękę i rzekł:

— Tak jest Mamo, daję na to moje słowo.

Nadeszła niedziela, Władzio wstał raniej jak zwykle. Zajechał powóz zaprzężony w cztery dzielne konie, wsiedli wszyscy, woźnica strzelił z bicza, pojechali.

Przez drogę Władzio nie mógł dosiedzieć spokojnie. Co chwila lękał się czegoś. Wypadło jechać przez las. Władzio dostrzegł z daleka żydka jadącego na kulawym koniu, i myślał że to rozbójnik.

Potem ujrzał cygankę, dziecko na plecach niosącą, i znowu nie mógł wstrzymać się od wykrzyku bojaźni.

Kiedy w kościele ksiądz stanął przed ołtarzem, kiedy chłopcy służący do mszy dzwonić poczęli, a na chórze donośnym, poważnym głosem odezwały się organy, Władzio zadrzał na całem ciele i pobladł jak chusta. Zdawało się że traci ze strachu przytomność — wargi mu drzały, a oczy biegały jak w gorączce. Mama widziała to. Przelękła się o synka; sądziła że zasłabł. Nie chcąc narażać go dłużej, rzekła coś z cicha do ojca. Ten dał znak służącemu aby się zbliżył, a mama nachyliwszy się do Władzia powiedziała mu, że go służący wyprowadzi z kościoła. Władzio ożył z radości, powstał, już miał odejść, ale naraz przypomniał sobie że dał słowo, spojrzał na Mamę z rozżaleniem, i rzekł:

— Mamo, przecież ja dałem słowo — o! choćbym miał umrzeć tutaj, nie wyjdę z ławki przed końcem nabożeństwa.

I został — padł na kolana, wzniósł oczy do obrazu ukrzyżowanego Chrystusa Pana i cały zatopił się w modlitwie. Bóg go wysłuchał, dodał mu tyle siły i męstwa, że Władzio przezwyciężył bojaźń swoją. Było to po raz pierwszy w jego życiu.

Odtąd codziennie sił swoich doświadczał. Powoli, powoli, przestał się lękać żydów, dziadów i cyganów. Prąd wody już go więcej nie straszy. Jeździć na koniku lubi bardziej jak wszelką inną rozrywkę, a kiedy usłyszy muzykę, nie tylko się jej nie boi, ale tupnąwszy żwawo nóżką, zabiera się zaraz do mazurka lub krakowiaka. Poważny głos organów jest dla niego miłem wspomnieniem.

O! szczęśliwe, szczęśliwe to dziecię, które tak jak Władzio, wszystko zaczyna od Boga, i umie święcie dotrzymać danego słowa.

Dobry staruszek.

Pewien staruszek nadewszystko w świecie
Lubił i kochał każde grzeczne dziecię,
A że go dzieci nawzajem kochały,
Chciał im raz zrobić podarunek mały;
Spieszy do miasta, skupuje pierniki,
W oczekiwaniu po przed domem staje,
Idą niebawem dziewczątka, chłopczyki,

Staruszek wszystkim po pierniku daje.
Kiedy już pełne wypróżnił kieszenie,
Pojrzał czy bardzo ucieszył swych gości?..
Lecz jakież było staruszka zdziwienie,
Gdy w żadnem zbytniej nie ujrzał radości;
Dzieci pierniki obojętnie brały,
Pół wprawdzie zjadły, lecz pół pieskom dały.
Staruszek tedy zabawki skupuje,
Myśląc że niemi dzieci uraduje;
Lecz i tym razem radość była mała,
Wnet garstka śmieci z zabawek została...
Dobry staruszek suszy sobie głowę,
Jakieby dzieciom dać podarki nowe?..
Bierze nareszcie: **„Przyjaciela dzieci“** —
Patrzy.... dziecinkom radość w oczkach świeci,
Chciwie książeczki z rąk jego chwytają,
I wszystko pilnie, ochoczo czytają;
Dobry staruszek cieszy się serdecznie,
Że dziatki czas swój trawią pożytecznie.

NAPADY TATARSKIE.

Uczyłyście się już zapewne, kochane dziatki, historji polskiej, i wiecie już nie jedno co się działo w ojczyznie naszej dawniejszemi czasy — który po którym król następował i co dobrego zrobił dla swego kraju, którzy sławni mężowie odznaczyli się w Polsce cnotami, nauką lub wojennemi dziełami, jakie kraj nasz przechodził koleje, jakie odnosił zwycięstwa i jakie nieraz dotykały go klęski. Czytałyście zapewne *„Pielgrzyma z Dobromila,“* pamiętacie tego dobrego staruszka, co tak pięknie historję polską opowiadał słuchającym go z wielką ciekawością dziatkom — a z *Spiewów historycznych* pewien jestem że nawet niektóre umiecie na pamięć i powtarzacie je czasem z łezkami w oczach, jak np. o Leszku białym, co nie chciał opuścić przyjaciela swego Goworka, lub o Bolesławie Krzywoustym, co

Jeszcze był małem chłopięciem
już prosił ojca by go z Sieciechem wysłał na wojnę.

Wiem że nic was tak nie zajmuje i nie bawi jak opowieści podobne, bo nic w świecie nie może być ciekawszego i więcej nauczającego jak poznać dokładnie co się działo w



Koniecpolski rozdaje mieszczanom lwowskim na wychowanie dzieci, odbite z niewoli tatarskiej.

ojczyznie, którą nad wszystko kochamy, i dla której powinniśmy oddać na usługę całe życie i wszystkie zdolności i siły nasze.

Jeżeli więc będziecie słuchać uważnie i czytać z ochotą, będziemy wam opowiadać rozmaite ważniejsze zdarzenia z przeszłych czasów, ażebyście coraz lepiej poznawały historję polską.

Były czasy że Polska była wielką, potężną i szczęśliwą. Rządzili w niej królowie obierani przez naród, kraj był zamożny, kwitły w nim nauki, sąsiednie mocarstwa szanowały go i przysyłały swych posłów z oświadczeniem hołdu lub przyjaźni, a kiedy po śmierci króla tron był opróżniony, najpotężniejsi książęta zagraniczni starali się o ten zaszczyt aby którego z nich Polacy obrali swym królem.

Lecz była klęska, która od czasu do czasu niszczyła Polskę, zwłaszcza jej okolice wschodnie, i była wielkiem dla mieszkańców nieszczęściem. Były to napady Tatarskie, powtarzające się bardzo często, rokrocznie prawie. Z nad brzegów morza czarnego, z Krymu puszczała się ku Polsce stotysięcznemi hordami ta dzicz barbarzyńska, wiedziona chęcią zdobyczy. Już sam widok Tatara przejmował zgrozą i przerażeniem spokojnego siół polskich mieszkańca. Byli oni wzrostu krępego, twarzy niekształtnej, szerokiej i śniadej, oczka mieli małe, nosy płaskie, jechali na małych lecz bardzo zwinnych i do wszelkich trudów wzwyczajonych stepowych koniach. Ubrani w kożuchy wywrócone futrem do góry i w takież czapki, przez plecy przewieszony mieli łuk i sajdak napełniony strzałami, często zatrutemi, oprócz tego mieli przy sobie arkany i troki do chwytania i wleczenia za sobą jeńców, zabranych w napadniętym kraju. Nieszczęśliwych tych przywiązywali do ogonów końskich i tak wlekli za sobą. Obyczaje tatarskie, pożywienie ich i cały sposób życia były równie dzikie jak ich powierżchowność. Jedli mięso końskie i za najlepszy napój spijali kobyle mleko. Okolice którędy przeszli, pozostawiali pustką. Palili wsie, rabowali dwory i kościoły, pastwili się nad mieszkańcami i dopiero uzbierawszy ogromną ilość zdobyczy powracali do siebie, na stepy Krymskie. Największem było nieszczęściem

dla mieszkańców okolic dotkniętych napadem Tatarskim to, że porywali oni z sobą ludzi i uprowadzali daleko od ojczyzny, do której już nigdy prawie nie wracali pojmani w krymską niewolę jeńcy. Tatarzy nietylko że używali ich do własnej posługi, ale sprzedawali za duże pieniądze do Stambułu Turkom i dalej do Azji, gdzie już do śmierci najokropniejszego doznawali losu. Tylko bogatsi, których rodziny były dosyć zamożne aby znaczny okup posłać za nich Tatarom, wydostawali się z niewoli i mogli wrócić do ojczyzny, jeżli szczęśliwie powiodło im się donieść o sobie swej rodzinie i doczekać się nadesłania okupu. Po kilka, kilkanaście i więcej tysięcy ludzi uprowadzali tym sposobem Tatarzy z Polski za każdym swoim napadem.

Kiedy nadbiegły wieści że Tatarzy pokazali się na granicach Polski i już rozpuszczają po kraju zagony, przerażona ludność rzucała domy, odbiegała chat swoich i wraz z dobytkiem, z czem kto mógł, kryła się w lasy lub uciekała w dalekie strony. Gdzie w pobliżu były zamki obronne, jakich szczątki i ruiny widzieć się wam i dzisiaj zdarzy w okolicach na Rusi, lud garnął się tam pod zasłonę murów i obronę zgromadzonego w nich rycerstwa. Inni zamykali się po kościołach, które umyślnie w tym celu obwarowywano w tych okolicach murem i basztami. W wielu miejscach kopano podziemne lochy i przejścia, ciągnące się bardzo daleko, i tam szukano schronienia. Do dzisiaj natrafiamy jeszcze ślady takich podziemnych schowków. Nieraz znachodzono w nich nawet przechowaną wówczas jeszcze żywność. Ażeby prędzej donieść o napadzie Tatarów, sypano umyślnie od samych granic, w kierunku którędy zwykle szli Tatarzy, wysokie mogiły w pewnej od siebie odległości. Na takich wzgórzach stali strażnicy — skoro Tatarzy się zbliżyli, zapalono ogień na pierwszej z mogił strażniczych, ujrzawszy to strażnicy zapalali ogień na drugiej, i tak rzędem na wszystkich, a tym sposobem wieść o zbliżających się Tatarach w jednej prawie chwili rozbiegała się po całym kraju i ostrzegała mieszkańców.

Wówczas postrach rozlegał się po kraju między spokojną, rolniczą ludnością, a wszyscy ci, co broń nosili i umieli

władać orężem, rycerstwo i szlachta, dosiadali koni i spieszyli naprzeciw hordom pogańskim, na ratunek ojczyzny. Nieraz nim się zdołali zebrać i wyruszyć na nieprzyjaciela, już Tatarzyn naplądrowawszy wszerz i wzdłuż na kilkadziesiąt mil w około, nabrawszy łupów i jeńca, uszedł i uprowadził z sobą to wszystko. Czasem udało się dognać go i odbić łupy zabrane. A tak często powtarzały się te walki z Tatarami, że wzwyczajona do tych bojów młodzież polska, szła na spotkanie z nimi jakby w taniec na zabawę, a walkę z Tatarem powszechnie nazywano *tańcem tatarskim*.

Opowiedziawszy wam kochane dzieci, jacy to byli ci Tatarzy, i jak wielkie nieszczęścia sprowadzali na Polskę, opiszę wam pokrótce, co się stało po jednym z takich napadów Tatarskich, abyście mieli przykład jakich to ojczyzna nasza miewała walecznych mężów i zacnych obywateli, co ją i bronić umieli w potrzebie i nieść pomoc nieszczęśliwym.

Było to w r. 1624. Tatarzy najechali Polskę pod dowództwem Kantemira Baszy i zagnali się aż po San, po Przemyśl, zniszczenie i pożogę roznosząc po kraju. Pustkowiem stały okolice którędy przeszli, dymiły się resztki siół popalonych. Tym razem Tatarzyn zabrał ogromną ilość ludzi w niewolę a zawróciwszy od Przemyśla, wracał ku domowi, trzymając się brzegów Dniestru. I zabrał także wiele maleńkich dzieci, aby je potem sprzedać do Tureczyzny. Biedne sieroty porwane od rodziców, od swoich, poprzywiązywane do wozów, drząc i płacząc ledwo nie ginęły z przestrachu. I tak dniem i nocą jechały, nie widząc w około siebie tylko srogie twarze pogańskie, na pół dzikie, nieludzkie prawie, których mowy zrozumieć nie mogły, a których się bały niezmiernie.

Był wówczas hetmanem polnym koronnym Stanisław Koniecpolski. Gdy się tylko dowiedział że Tatarzyn grasuje w Polsce, zebrał co mógł swych własnych ludzi, swą chorągiew hussarską i piechotę własną, i wyruszył co prędzej naprzeciw Tatarom. Dowiedziawszy się w drodze że hordy ich zawróciły już od Przemyśla, i z ogromnym łupem w ludziach i innej zdobyczy ciagną po nad Dniestr, postanowił zajść im drogę z nie

nacka. Pociągnął tedy także ku Dniestrowi i stanął pomiędzy Haliczem a Bołszowcem, w miejscu, którędy wiedział że Tatarzyn przeciągać będzie. Tak się też stało. Nadciągnęli Tatarzy i natrafili na czekające już na nich wojsko polskie.

Z przeraźliwym krzykiem: Ałła, ałła! wpadli Tatarzy i chmurami strzał zasypali Polaków. Lecz Polacy jak lwy rzucili się na nich — zachrzęsły zbroje i oręże, zagrzmiały śmigownice — krótko trwała walka. Tatarzy w popłochu chcieli uciekać na drugą stronę Dniestru. Wielu z nich rzuciło się w rzekę i potonęło. Polacy gonili uciekających aż do późnej nocy — zwycięstwo było zupełne.

Ale jakaż była radość między jeńcami, kiedy porozwiązywano ich pęta, kiedy się ujrzeli wyratowani i wolni. Jaka radość była między temi dziatkami, co dni tyle w takim strachu i nieszczęściu, na same obrzydłe i straszne tatarskie patrzali twarze.

Radość była powszechna. Wojsko polskie zwyciężywszy Tatarów, ciągnęło do Lwowa. Za wojskiem na wozach wieziono odbite z niewoli tatarskiej dzieci. Jakże wesoło rozglądały się teraz po tych samych okolicach, którędy przed kilku dniami jechały płaczące pośród zgrai tatarskich. Lecz biedne te dzieci nie miały rodziców; zabrane w rozmaitych okolicach, nie umiały same wytłumaczyć zkąd były, i gdzie są ich rodzice— a potrzebowały opieki i starania, bo to były po większej części maleńkie, zaledwo dorastające dzieci.

Hetman Koniecpolski postanowił odezwać się do litości mieszczan Lwowskich, i biedne te sieroty poruczyć im w opiekę. Byłto dzień uroczysty gdy Koniecpolski na czele zwycięskich swych hufców wjechał do Lwowa. Całe miasto wylęgło na jego spotkanie, witało hetmana i jego wojsko, i przypatrywało się tym, ciekawie rozglądającym się dzieciakom, które za wojskiem wieziono. W kościele katedralnym odspiewano *Te Deum*, na podziękowanie Bogu za odniesione zwycięstwo. Przed wielkim ołtarzem stały ustawione rzędem sierotki i ze złożonemi rączkami modliły się także serdecznie, dziękując Bogu że zostały uratowane z wielkiego nieszczęścia. Po nabożeństwie ksiądz Fabjan Birkowski, pierwszy owego wieku kazno-

dzieja, przemówił do zgromadzonych, wymownie opisując sieroctwo tych dziatek, które wskazał, i wezwał znajdujące się w kościele kobiety aby je pomiędzy siebie rozebrały. Słowa ks. Birkowskiego rozczuliły wszystkich; ze łzami w oczach patrzano na sierotki cisnące się w około hetmana, z postanowieniem zastąpić im rodziców. Po kazaniu Hetman wyszedł na rynek. Dwoje dzieci prowadził za rączki — inne postępowały za nim. Do koła niego cisnął się tłum kobiet — każda prosiła by jej powierzyć którą sierotkę. Były takie co wzięły i po dwie, przyrzekając opiekować się niemi jakby własnemi dziećmi. W pół godziny biedne sierotki miały już zapewnioną sobie opiekę, wychowanie, i przybranych rodziców.

Popatrzcie dzieci na załączoną tu rycinkę, przedstawia ona właśnie tę chwilę kiedy Hetman rozdaje na wychowanie odbite z niewoli tatarskiej dzieci — W środku ten mąż słuszny, z wejrzeniem męskiem a łagodnem, w długiej ferezji, co dwoje dziatek trzyma przed sobą, to Hetman polny Koniecpolski. Przemawia on właśnie do zebranych w około mieszczan i porucza im sierotki, których tam więcej widzicie w głębi. Ta kobieta co przyklękła, i opowiada coś dziecięciu wskazując na hetmana, wzięła właśnie z rąk hetmańskich tego chłopczyka na wychowanie i napomina go żeby nigdy nie zapomniał tego oto dobroczyńcę, co uratował ojczyznę, i zapewnił los biednych dziatek.

LIPA.

Lipa pospolita, jakie widzicie przed domem lub koło kościołów, ma pień różnej wysokości i grubości, konary rozłożyste, a liść ciemnozielony kształtu serca. Grubość pnia zależy od wieku drzewa. Są lipy, których pnie mają po dziesięć łokci objętości, a nawet i więcej. Łatwo pojąć co za wspaniały widok przedstawia drzewo takie, ile to ptasząt wszelakiego rodzaju musi śród tych gęstych liści przemieszkiwać. Mówią że lipa stać może tysiąc lat. Biedna staruszka wypróchnieje wtedy wewnątrz zupełnie, ale mimo tego, co wiosna piękną, świeżą okryje się zielonością, zakwitnie, i woń przyjemną rozsyła w

około. Woń kwiatu lipowego jest bardzo przyjemna, a nawet przyjemniejsza jak innych kwiatów, ponieważ nie sprawia bolu głowy.

Inne zaś kwiaty zostawione na noc w sypialnym pokoju o chorobę a nawet o śmierć przyprawić mogą. Ale kwiat lipowy nie tylko dla tego ma wartość że pięknie pachnie i nikomu nic nie szkodzi. Jest prócz tego bardzo użyteczny. Najprzód jako lekarstwo— wy same piłyście nieraz może napój z kwiatu lipowego, który wielce pomaga na piersi; a powtóre, z niego zbierają pszczoły ów smaczny, biały miód *lipcem* zwany.

Drzewo lipowe jest białe, miękkie i lekkie. Różni rzemieślnicy, jak np. stolarze, tokarze itp. używają go do swoich wyrobów. Z lipiny robią także niecki, talerze i łyżki. Snycerze wyrzynają z niej posągi i figury świętych. Łyko lipowe jest także bardzo pożyteczne. Można z niego pleść kapelusze, maty, i kręcić powrozy, a nawet tak się da urobić, że je można prząść jak konopie. Na paliwo lipina nie jest przydatna, ale za to węgle jej używane są na ołówki, jakoteż do robienia prochu strzelniczego. Liście lipowe są serduszkowe, ząbkowane, z jednej strony ciemno zielone, lśniące, z drugiej zaś jaśniejsze. Mogą służyć w potrzebie na paszę dla bydła.

Nie jedno z was nie wiedziało pewnie jak wielkie korzyści ludzie odnoszą z tego jednego drzewa. Są na ziemi drzewa jeszcze pożyteczniejsze jak lipa, powoli dowiecie się o wszystkich, i jeszcze bardziej dziwić się będziecie Opatrzności Boskiej, ktora po ojcowsku przewidziała wszystkie potrzeby człowieka i wszystkim zaradzić pamiętała.

Od najdawniejszych czasów lipa była ulubionem drzewem przodków naszych. Odwieczne cieniste lipy zapełniały ich ogrody. Długie aleje zasadzone lipami przedstawiały prześliczny widok, i dawały chłód przyjemny. Tam, równo ze świtem siwy staruszek odmawiał poranne pacierze, nim powstała z nocnego spoczynku cała rodzina, nim do dziennej wzięto się pracy; tam nieraz podczas upałów lata wynoszono z komnat dworu sprzęty, zastawiono stoły, i hojny gospodarz w cieniu lip rozłożystych przyjmował dobrych sąsiadów, którzy dom jego nawiedzili. Tam nareszcie wieczorem, przy blasku księżyca ten sam

staruszek który rano wzywał Boskiej opieki na dzień cały, dziękował znowu Stwórcy za otrzymane łaski i prosił o dalszy pokój i szczęście dla swoich dzieci i wnuków.

W pożniejszych czasach wycięto te piękne lipowe aleje. Ogrody zaczęto przerabiać na angielskie i francuskie, jednak i potem jeszcze przed każdym niemal dworkiem szlacheckim stała piękna rozłożysta lipa. Na niej wisiał wizerunek Matki Boskiej lub krzyż Zbawiciela, a pod lipą na darniowej ławeczce gospodarz domu wolne po pracy godziny przepędzał ze swoją rodziną, przypatrując się z uśmiechem jak mali chłopcy uganiali na kucykach pod okiem rodzicielskiem, lub zaprawiali rękę na drewnianej szabelce.

Dzisiaj lipy są rzadkie. Mamy wprawdzie w ogrodach szpalery strzyżone na sposób francuski, mamy mnóstwo drzew i krzewów zagranicznych, unosimy się nad wonią kwiatów przesadzonych z dalekich krain, lecz milej byłoby nam zobaczyć staroświecki ogród z cienistemi lipowemi alejami.

I z was niejedno kochane dzieci odczyta może ten opis w cieniu starożytnej lipy. Niechże ją sobie dobrze zapamięta. Gdy nadejdzie godzina spoczynku, dziecię pod lipą klęknie u kolan matki, i zmówi wieczorną modlitwę. Powinno ją zmówić pobożnie, aby Bóg osłodził mu późniejsze chwile, gdy przyjdzie pożegnać rodziców i starą lipę, a pojechać do miasta, do szkół.

Lecz co tam — rok szkolny szybko przemija przy pracy, a gdy dziecię z dobrem świadectwem wracać będzie do domu, nietylko wyjdą naprzeciw niemu rodzice, bracia, siostry i starzy słudzy — nietylko piesek, towarzysz dzieciństwa, będzie się cieszył i weselił — o! i odwieczna lipa zaszumi wtedy uroczyście na powitanie dziecięcia pilnego, a przywiązanego do rodzinnej zagrody.

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1. i 15. każdego miesiąca. Przedpłata w miejscu wynosi półrocznie za czas od 1. Lipca b. r. do Nowego Roku 2 Złr. 20 cnt. w. a. Z przesyłką pocztową 2 Złr. 50 cnt. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda. Z prowincji pieniądze prenumeracyjne należy przysyłać **franco**, wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktorka odpowiedzialna Aniela Zawadzka. Drukiem K. Pillera 1861.